

nie chciałem mu towarzyszyć... Wynajął mały angielski powozik i zamierzał udać się do Bry-sur-Marne, by zobaczyć willę rzeźbiarza Barrabasa, od której Marcadian wręczył mu klucze.

Nie mogłem pozostać obojętnym wobec podobnego zaproszenia i przyjąłem je chętnie, tając w głębi duszy wzruszenie, jakiego doznałem.

— Wiesz — rzekł mi William — że sprawa została zakończona. Policja nie mogła trafić na żaden ślad... Uznano, że zaszedł tu straszny wypadek, który pociągnął za sobą gorsze jeszcze następstwa, gdyż dobrowolną śmierć męża i syna ofiary.

Popędzał machinalnie małego konika zaprzęgniętego do naszego wózka i zalił się przedemną:

— Biedna Ewelina! Ona jest prawdziwą ofiarą tego strasznego dramatu! Miłość swą dla niej uważam obecnie za rodzaj pewnego obowiązku, który muszę spełnić. Nie możesz wyobrazić sobie, jak się czuję dumnym, że miłość ta nie jest egoistyczna, czysto męska, lecz płynie z troskliwości o jej szczęście.

— Istotnie możesz być dumny z podobnych uczuć — odpowiedziałem, zdejmując rękawiczkę, by nałożyć sobie tytoniu do fajki.

William irytował mnie swoimi zwierzeniami, choć były one tak serdeczne. Potrzebowałem spokoju w tej chwili, by mózgu w zupełności oddać się wspomnieniom przeszłości, które wielką falą napływały mi do duszy. Dojeżdżaliśmy już do Bry-sur-Marne... Zdawało mi się wówczas, że jest we mnie dwóch ludzi, że istotnie jadę z wizytą do rzeźbiarza Barrabasa, zwanego w tej okolicy królem warjantów. Na skrócie drogi do miasteczka spotkaliśmy „Mrugacza”, który wracał ze swej rannej przechadzki, a gdyśmy stanęli przed moim smutnym, opuszczonym domkiem z pozamykanymi zielonemi okiennicami, usłyszałem z za płotu, jak matka Carre zwołuje swe kury, by je nakarmić.

W sercu mem zrobiła się wielka pustka... Czułem jak lzy zbierają mi się pod powiekami... Obawiałem się przez chwilę, bym się nie zdradził. Jakby przez ironię losu narzeczony Eweliny wziął się do oprowadzania mnie po domu...

— Tędy się idzie do pracowni rzeźbiarza...

Szedłem za nim posłusznie jak człowiek obcy, który po raz pierwszy dopiero zwiedza te miejsca... Przyglądałem się spokojnym i obojętnym wzrokiem pokojom, które zamieszkiwałem przez tyle lat, w których tak radośnie płynęło me życie z ukochaną żoną i dziećmi.

— To jest właśnie pracownia — tłumaczył mi William — a to posąg „Boleści” już na ukończeniu i do którego pozowała ofiara tego strasznego wypadku... Ewelina i jej wuj chcą przez pamięć o nieżyjących zachować wszystko tak, jak jest!... Nie będziemy mieszkali w tej willi, ani też nikt inny, dopóki my żyjemy. Prawda, że chcę utrzymania wszystkiego w dotychczasowym stanie jest jakimś rozczulającym przywiązaniem do miejsca, w którym rozegrała się tak straszna scena?

Nie miałem siły, by na to odpowiedzieć... Stałem nieporuszony przed białym, jakby żyjącym posągiem i wpatrywałem się w ukochaną twarz, która zdawała się mówić do mnie z za grobu i dziękować swemu tajemniczemu ustami.

Byłem wzruszony do głębi duszy, co łatwo mógł spostrzedz William mimo wysiłków, jakie czyniłem, by niczego po sobie nie okazać. Wzruszenie jednak me musiał przypisać podziwowi dla dzieła artysty, gdyż rzekł mi:

— Prawda, miał talent?

Zrobiłem obojętną minę i odpowiedziałem niechętnie:

— O, tak... z pewnością!... Nie był to pierwszy lepszy!... I mówisz, że twa narzeczona i jej wuj mają zamiar zachować wszystko tak, jak jest?

— Taka ich wola, a ja z pewnością nie będę się im sprzeciwiał!

— Masz słuszość, Williamie... mogę ci tylko powinszować tego... Jest to bardzo delikatnie z twej strony...

I uściśnięciem silnie rękę młodego człowieka... I napawałem swe oczy i napawałem swą duszę widokiem tych wszystkich drogich mi rzeczy, które musiałem opuścić w obecności swego przewodnika z pozorami obojętności!... Rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie na ten posąg „Boleści”, pod którego opiekę jakby były oddane te miejsca... Chciałem zapamiętać o wszystkim, nie mogłem jednak pozbyć się wspomnień, które wywoływały we mnie moje własne sprzęty domowe... Wielka kanapa, odpowiednia do drzemki poobiedniej, obrazy i akwarele z dedykacjami przyjaciół, szkice mych prac, półki z ukochanymi książkami — wszystko to było jakby strzępy mej duszy. Uczułem jednak, iż mogę się stąd oddalić bez obawy, gdyż nastrój ten, jaki tu mnie przenikał, pozostanie na zawsze w moim drogim domku... Jakiś głos wewnętrzny szeptał mi w głębi duszy słowa nadziei, iż powrócę tutaj i w szczęściu i spokoju dokonam ostatnich dni swego żywota.

Gdyśmy wsiadali do wózka, przyglądała nam się matka Carre razem z „Mrugaczem”, który przyszedł



Szwagier uściśkał mnie serdecznie za jedną rękę a córkę za drugą.

do niej z wizytą. Usłyszałem wyraźnie, jak mówiła do emerytowanego oficera:

— To zapewne ci Amerykanie!... Ach! co za dziwna zmiana w życiu Eweliny... po takim strasznym dramacie, małżeństwo!

Dobiegła mnie i odpowiedź Mrugacza:

— Ale ten stary ma podejrzaną minę!...

Na południe wróciliśmy do siebie. Zadowolony byłem z tej wycieczki, nie przeczuwając, że tegoż jeszcze dnia Joe Duncan, po którym zawsze można było spodziewać się wszystkiego, zmieni doszczętnie cały porządek rzeczy, zburzy plany, jakie układałem na przyszłość, sprowadzi rozwiązanie całej sprawy, jakie mi nawet nie przychodziło na myśl. Złe wyrażam się, mówiąc o rozwiązaniu, gdyż zarządzenie króla papierowego zamiast uprościć wszystko, pogarszało całą sprawę... Nie mogłem jednak przewidzieć wtedy strasznych następstw tego nowego rozporządzenia, które narazie winienem był nawet uważać za zwrot bardzo korzystny dla siebie.

O trzeciej po południu przybył jak zwykle Joe... Z radości, z jaką się ze mną witał, poznałem od razu, iż przychodzi z czemś niezwykle. Był nadzwyczaj wesoły i na całej jego wielkiej postaci malowało się jakieś dziwne zadowolenie z siebie.

William nie było w domu, mógł też swobodnie wyłożyć mi cel swej wizyty.

— Mój przyjacielu, Jonatanie — rzekł mi zaraz, gdyśmy zasiedli sami w małym saloniku — w piątek o pół do piętej wieczorem odjeżdża z Hawru la Touraine... Dzisiaj jest sobota... Masz więc okragło pięć dni wolnych, by przygotować się do wyjazdu, pozatować swe interesa i pożegnać się z swymi przyjaciółmi!...

Ządaniu temu oparłem się spokojnie, lecz i energicznie:

— Cóż to, Joe!... Nie przypominasz sobie, co ci powiedziałem niedawno na wystawie?

Na słowa me wybuchnął głośnym śmiechem.

— Zamiast gadać bez sensu, posłuchaj mnie uważnie i rozważ to, czego obecnie wymagam od ciebie... Przecież nie przypuszczasz, bym ci zostawił sto pięćdziesiąt milionów dolarów na swobodne wylegowanie się między moim głupim synem a twą rozkoszną córką, Ewelina... Choć ty jeden tylko masz istotnie prawo do nagrody...

— O jakiej nagrodzie mówisz? — przerwałem.

— Zamiary swe wyjawię ci potem, gdy będziemy już na miejscu!... Obecnie żądam od ciebie jednej tylko rzeczy, a mianowicie posłuszeństwa... Posłuchaj mnie uważnie, Jonatanie Brentano!... Jest niemoralnie... umyślnie mówię niemoralnie... korzystać samemu z majątku, a nie udzielać go komu innemu!... Brentano, ty nie masz spadkobierców!...

— Ewelina!... — rzekłem zupełnie naturalnie.

— Tak, tak... Ewelina i William!... Jest to plectwo trzy po trzy!... Ja nie z Barrabasem teraz rozmawiam. Zwracam się do swego współnika, Brentana! Moralność nakazuje, by Brentano miał swego spadkobiercę!... W twoim wieku nie możesz się spodziewać... nie możesz myśleć o Lucyi Weill, prawda! Należy więc załatwić tę sprawę jak najprościej!

— Jak najprościej?

— Ma się rozumieć! Czy nie masz przypadkiem między swymi przyjaciółmi mi jakiego młodego człowieka... chłopca, jakiegobym chciał, któryby odpowiadał moim zamiarom... który byłby godzien twej miłości, któremu mógłbyś zapewnić świetny los, dając mu swe nazwisko?... Nie masz nikogo podobnego pod ręką?

Zdumiony tak dziwną propozycją, której istotnego celu, nie mogłem domyślać się, cofnąłem się w tył i patrzyłem z pewnem przerażeniem na tego niezwyklego milionera.

Ponieważ nie odpowiadałem, Joe Duncan zaczął się irytować.

— A więc nie masz?... To szkoda!... Znajdzie się go jednak łatwo w Nowym Jorku lub Bostonie!... Wolałbym jednak Francuza... przez wzgląd na ciebie... i przez wzgląd na tamtego!...

— Jakiego tamtego?

— Ach! jakiś ty nudny ze swoimi głupimi pytaniami!... Masz je-dnem słowem pięć dni na wyszukanie sobie następcy!... Zwróć uwagę na to, że ja cię wcale niczem nie kłepuję... możesz sobie wybrać nawet jakiego łajdaka, jeżeli zechcesz... Dla mnie jest to wszystko jedno!... Szukaj go nawet w ostateczności w menażeryi Williama!... Cóż mnie to może obchodzić!... Chcę tylko, byś to zrobił!

Przy tych ostatnich słowach zerwałem się z swego fotelu i stając wprost Joe Duncana, powtarzałem bezwiednie:

— W więzieniach!... Tutaj nawet!... Młodego człowieka!... Chcesz, bym przyjął obcego... bym mu dał nazwisko Brentana... bym go uczynił swym spadkobiercą i zabrał z sobą do Nowego Jorku?

— Tak, w piątek wieczorem na pokładzie Touraine! Wyjazd z Hawru... pół do piętej punktualnie!... Statki transatlantyckie nie wyczekują na pasażerów, jak wasze omnibusy!... Co się ty tak patrzysz na mnie jak ogłupiały!... Masz minę, jakbyś spał stojąc!...

— Trzeba załatwić pewne formalności... — wtrąciłem — chciałbym być na ślubie Eweliny...

(Ciąg dalszy nastąpi).